

Z rodzinnego albumu. Z duchami w tle.



Rynek w Hrubieszowie na dawnej pocztówce
Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

Wszędzie było bardzo niebezpiecznie. Na wsiach, zwłaszcza w dworach polskich każda noc była niepewna, pełna lęku.

Przychodzili zbrojni partyzanci po prowiant, ale nigdy nie było wiadomo, którzy na ten raz – swoi czy obcy, akowcy czy upowcy. Wezmą dobrowolnie czy siłą i czy z życiem zostawią?

Rodziny z dziećmi poprzemigowały się do miasteczka, zajmując puste domy po Żydach. Lila z dziećmi też się przeniosła. Wacek wynajął dla nich pół drewnianego domu, bardzo sympatycznego, przy ulicy Chełmskiej, koło starej szkoły. Oba zabytki stoją do dzisiaj. Sam dzielnie wytrzymał. Jako właściciel majątku ziemskiego Wiszniów pod Hrubieszowem, był znakomitym gospodarzem i fachowcem. Dzięki niemu i my od czasu do czasu otrzymywaliśmy coś z dóbr. Bardzo dbał o rodzinę i szalenie kochał swoje śliczne dzieci – Ijunię (Marylę) i Eniego (Andrzeja).

Na naszym przedmieściu pojawiło się kilka rodzin przybyłych z Poznania i z Warszawy. Natomiast wyjechali Wojtysiakowie, właściciele domu, w którym mieszkaliśmy, chyba dlatego, że on był granatowym policjantem. Do ich mieszkania przyjechała gromadka dzieci państwa Andrzeja i Marii Komornickich i syn państwa Szuldrzyńskich z opiekunką, starszą, nobliwą panią. Przywieziono ich końmi z odległego o 17 km majątku Mircze. Najstarsza Enia – moja rówieśnica i czterech chłopców: Iko, Tunio, Boba i Zyg – w kolejności urodzenia – dostarczali mnie i bratu Julkowi wielu przeżyć i wspomnień.

Ot, chociażby niezwykle obchodzony dzień św. Mikołaja.

Przyznam, że z taką tradycją, jeśli to tradycja, nie spotkałam się nigdy i nigdzie. Każde dziecko otrzymało jako prezent coś w rodzaju przebrania na głowę, charakteryzującego jego wadę, np. Boba dostał ośle uszy, pięknie wykonane z papieru i bibułki, zapewne przez guwernantkę. Iko - długi język przyczepiany co brody, a Tunio - knebel. Co dostała Enia, co my oboje z bratem? - nie pomnę. Oczywiście wszystkie dzieci dostały woreczki z pierniczkami, Mikołajem i słodyczami domowej, dworskiej kuchni. Byliśmy uszczęśliwieni i pamiętamy to zdarzenie do dzisiaj.

W końcu sierpnia, w piękne lato 1943 r. przysłano po nas konie z Mircza. Pojechaliśmy na proszony obiad do dworu. Pewnie była to jakaś szczególna okazja, ale nie wiem jaka. Może imieniny pani Marii Komornickiej w Matki Bożej Częstochowskiej? - Podjechaliśmy pod duży, piętrowy budynek, który nie przypominał w niczym polskiego dworu, raczej miejską kamienicę. Powiedziała mi Enia, że stary dwór spalił się chyba podczas I wojny światowej, a to był budynek administracji majątku. Mieszkała tam, mimo niebezpieczeństwa, pani Kisielnicka, matka pani Komornickiej i ona była główną gospodynią, podejmującą małych gości. Zasiedliśmy przy dużym stole w obszernej jadalni na pierwszym piętrze. Otaczał nas ogród, park ze starymi drzewami, które zawsze uwielbiałam. W jadalni panował przyjemny chłodek, otwarte były szeroko okna. Wnoszono potrawy zaczynając podawanie ode mnie. Nie bardzo

zdawałam sobie sprawę z tego co to znaczy i przy deserze popełniłam „faux pas”, nakładając ogromną porcję kremu, który w wojennej rzeczywistości był czymś nadzwyczajnym i mogło go zabraknąć dla innych. Julek słusznie był oburzony i zawstydzony moim brzydkim zachowaniem. W domu naskarżył na mnie do mamy i powiedział, że przyniosłam mu wstyd i więcej ze mną nigdy już nie pojedzie. I nie pojechał, bo nie było okazji. Czułam się okropnie. Jaka egoistka! To była nauczka na całe życie.

Dla wypełnienia czasu wieczorami, w okropnie długie, zimne zimy i aby mieć kontakt z ludźmi urządziło się „herbatki” bez herbaty. Piło się napar z suszonych skórek jabłkowych, wiecznie zalegających na kuchennej płycie, które dawały bardzo przyjemny zapach w całym domu. Nie daj boże, gdy się spaliły!

Gości częstowano niezmiennie sałatką jarzynową z dużą ilością gotowanych ziemniaków, buraczków ćwikłowych, marchewki i małej fasoli. Miała różowawy kolor bardziej lub mniej mocny, w zależności od ilości śmietany. Niektóre panie dawały ogórek kiszony, zdecydowanie zaostrzający smak. Luksusem okupacyjnym był fasolowy tort, polska specjalność od Warszawy po Hrubieszów. Robiło się też „cukierki” na czas świąteczny z mielonych płatków owsianych, masła, cukru i jeśli było kakao, obtaczano w tym specjale. Formowane na dłoni kuleczki

wielkości orzechów włoskich, należało potrzymać na zimnie. Czegoż to ludzie nie wymyślili, żeby życie przybliżyć do normalności!? „Herbatki” sprzyjały kontaktom, zdobywało się wiadomości z frontu, czytało się podziemne gazetki. Były też wieczory poezji, seanse spirytystyczne, czasem potańcówki przy patefonie i przedwojennych płytach. Chociaż w naszym domu była gromadka młodzieży, mama nigdy na tańce nie pozwoliła uważając, że na taką rozrywkę czas nie jest odpowiedni. Jednak pomogła Jasiowi Piątkowskiemu zorganizować bal karnawałowy w Czumowie, na który pojechała Ela.



Mama Eleonora de Schmieden-Kowalska w czasach panieńskich na balu w Czernichowie w stroju Greczynki
Przygotowania do tego balu nad balami odbywały się wieczorami u nas i trwały dość długo ponieważ robiło się ręcznie śliczne,

kolorowe, pracowite kotyliony. Czy dzisiejsza młodzież wie co to takiego? – Z lśniących wstążek zakupionych u Gajzera, z mini figurek gipsowych czy artystycznych główek wykonywało się identyczną parę ozdób różnych kształtów i pomysłów artystycznych, które wybierały panie osobno, panowie osobno. Los szczęścia lub pech łączył dwa identyczne kotyliony w parę, która obowiązkowo musiała przetańczyć „kotyliionowego walca”, a mogła i resztę tańców przetańczyć razem, jeśli się poszczęściło. Pamiętajmy jednak, że do dobrych manier wychowania towarzyskiego należało zatańczyć chociaż jeden taniec z każdą panną. Nie było więc „skrobiących pietruszkę”, nie było też zwyczaju, aby panny tańczyły ze sobą lub indywidualnie. Te zwyczaje wzięły się już grubo po wojnie, chyba z braku partnerów. Kotyliony były atrakcją pełną emocji, zwłaszcza w momencie odkrywania losowego partnera i pamiątką, która zostawała po balu wraz ze wspomnieniami. Eli kotylion, bardzo piękny, długo plątał się w szufladzie, a przedstawiał diabełka z widłami na czerwono-czarnej wstążkowej rozecie.

W przeddzień balu smażono u nas pączki tzn. robiła je moja mama, a my niby pomagaliśmy. Ileż to było emocji z powodu ciasta, które najpierw nie chciało rosnąć, a potem rosło zbyt szybko. Nie wolno było chodzić, ruszać się, a nawet głośno mówić, bo to wszystko miało wpływ na udane lub nie udane, drożdżowe ciasto. Udało się wspaniale, choć lukier robiony w Czumowie zgrzytał pod zębami z powodu nowej donicy

(makutry), która puściła rdzawą mączkę.

Dzisiaj myślę, że te przygotowania dały nam więcej radości niż sam bal w pałacu, pełnym niemieckiego wojska. Tyle, że granica na Bugu zimą 1942 r. już nie istniała. A Jaś zaraz potem wyjechał do Lwowa na Politechnikę. Latem pojechała do Czumowa ciocia Milusia z Warszawy i my z Julkiem po kolei spędzaliśmy tam wakacje. Niestety, nie były już takie, jak te sprzed wojny.

Po tym sławetnym balu, zaczął u nas bywać kolega Jasia – Henryk Podwiński zwany Bocianem (może to był pseudonim partyzancki?). Pojawienie się tego drańgala, blisko dwumetrowego, ożywiło na jakiś czas życie towarzyskie w naszym domu. Pełen humoru, dowcipnych pomysłów zabawiał nie tylko młodzież, np. wykorzystując swoją sylwetkę do chińskich cieni, które prezentował za pomocą szczotki do zamiatania podłogi, kapelusza i płaszcza. Czarne, okupacyjne zasłony na okna doskonale spełniały rolę ekranu, a przy migotliwym, nikłym świetle lampy naftowej, odbijająca się sylwetka dawała złudzenie ruchu. Heniek grał tajemniczego mężczyznę, który rósł w oczach, kapelusz balansował na kiju, a ramiona unosiła szczotka, oczywiście niewidzialna pod płaszczem. Gibał się, pochylał, rósł i malał karykaturalnie, a my pękaliśmy ze śmiechu. Od czasu, gdy wstąpił do AK słuch po nim zaginął. Poszedł do lasu przygotowywać się do walki o Polskę. Podczas tej wojny wyginęła nasza najwspanialsza młodzież.

Niepowetowane straty!

W tym czasie, w środku wojny, cała nasza czwórka uczyła się. To, mimo wszystko, były najspokojniejsze dla nas lata (1942-43) i kontakt z ojcem był nieprzerwany. Tata przysyłał nam swoje paczki z PCK (Portugalskiego Czerwonego Krzyża), w których bywało kakao, czekolada, kawa, chałwa, jakieś szprotki czy sardynki, coś z ubrania wojskowego np. ciepłe skarpety dla chłopców czy uniwersalne podkoszulki. Część tych prowiantów mama sprzedawała, aby uzyskać grosz na opłaty i opał, część zostawiała dla nas.

Kiedy było w miarę normalnie, mama starała się o kontakty towarzyskie dla starszego rodzeństwa. Przychodzili do nas z wizytą państwo Iwaszkiewiczowie z Poznania. Pani w wieku mamy, czyli średnim, bardzo miła, inteligentna i rozmowna oraz dwoje dorosłych prawie dzieci: starsza Jasia i młodszy nieco, bardzo przystojny Romek. Wtedy po podwieczorkowej herbatce, przygotowywało się okrągły stolik bez gwoździ, papier wycięty na kształt stolika z amerykanki do bilansów dla księgowych, na którym w krąg wypisane były ołówkiem wszystkie litery alfabetu, cyfry od 0-9, chyba rzymskie i dwa słowa na średnicy koła: „tak” i „nie”. Do tego konieczny był talerzyk średniej wielkości z zaznaczoną wyraziście strzałką.

Dorośle osoby, przeważnie w liczbie 6-7 siadały ciasno wokół

stolika trzymając opuszki palców na odwróconym talerzyku. Zewnętrzne palce musiały stykać się ze sobą. Wybierano medium i zaczynał się seans spirytystyczny czyli wywoływanie duchów. Niesamowita atmosfera skupienia, kompletna cisza, prawie ciemno, tylko dwie świece choinkowe, konieczne do odczytywania odpowiedzi. Twarze pełne napięcia, ledwie rozpoznawalne. Ja w kącie na kufrze pełna strachu, ale i ciekawości.

- Duchu, duchu, przybądź. - Duchu, ducha, czy jesteś? - talerzyk zaczyna wyprawiać brewerie, jeździ po całym papierze, wreszcie trafia na słowo „tak”. - Duchu, duchu, kim jesteś? - „P I Ł S U D S K I”. - Duchu marszałka powiedz nam, kiedy skończy się wojna?

I tu następowała konsternacja, bo nigdy odpowiedzi nie były zadowalające, a wręcz później posądzano, że ktoś za mocno ciągnął za talerzyk. No i tak pewnie było.

Zadawano kolejne pytania śledzono odpowiedź, która wcale nie była ani jednoznaczna, ani łatwa do poskładania z poszczególnych liter. Czasem wszystkie odpowiedzi były tak zagmatwane, tak niezrozumiałe, że mama pojawiała się z zakamarków kuchni, bo nigdy nie brała w tym czynnego udziału i przerywała posiedzenie proponując np. kisielek. Oznaczało to: koniec seansu.

Była zima 1942 r. Wszyscy pragnęli zakończenia wojny i to jak najszybciej, na najbliższą wiosnę. Pamiętam dobrze, bo szok był niesamowity - duch wskazał „maj 1945”. Nikt nie uwierzył.

Za sprawą ducha dowiedzieliśmy się także kiedy wróci ojciec. Strzałka powoli, ale bardzo zdecydowanie i wyraźnie wskazała „14 czerwca 1945”. Znowu nie uwierzyliśmy, a nawet była dyskusja czy prawidłowo odczytano, czy to nie matactwo jakieś z talerzykiem. Było to przecież niemożliwe. Znowu szok, bo data była precyzyjna! - I cóż powiedzieć? - męczyliśmy duchy dla własnej niecierpliwości i z ciekawości, a i tak nie dawaliśmy wiary. Słusznie kościół katolicki zakazuje. Nie wolno tego czynić. Pierwszy to był i ostatni raz.



Jaś (Jan) Piątkowski ur. 1922 r. syn Józefa i Marii z de
Schmieden-Kowalskich. Po śmierci matki był odpowiedzialny
za gospodarkę Czumowa.



Lila (Maria Piątkowska). To jej ślub w Hrubieszowie w 1938 r. z Wacławem Banaszkiewiczem. Byli właścicielami Wiszniowa.

Jan Piątkowski miał w pałacu duży pokój, gosposię i czasem tam bywał. Studiował we Lwowie na Politechnice i został konstruktorem statków. Całe życie przepracował w stoczni gdańskiej, jako inżynier-konstruktor. Lila Piątkowska i Wacław Banaszkiewicz mieli pięcioro dzieci: Maryla - Maria (Ijunia), Andrzej (Eni), Zosia (zmarła w dzieciństwie), Maria i Jan. Żyje troje: Maryla w Bielsku-Białej, Andrzej w Gliwicach i Jan w Krakowie.

W małym Hrubieszowie świetnie pracowała kilkunastoosobowa grupa pracowników Polskiego Czerwonego Krzyża (PCK) ze wspomnianym doktorem medycyny Władysławem Kuczewskim z Kryłowa. Eli zadaniem m.in. była opieka nad polskimi jeńcami przebywającymi zarówno w Oflagach, jak i w Stalagach niemieckich. Przychodziły listy z adresami konkretnych osób i tym zgłoszonym wysyłało się imienne paczki żywnościowe, zwłaszcza przed świętami katolickimi.

Organizowana akcja musiała mieć charakter konspiracyjny i angażować nie tylko osoby pewne i zaufane, ale i chętne do działalności charytatywnej. W skład każdej paczki wchodziły cwibaki, takie wysokokaloryczne suchary, które piekła prywatna

piekarnia na ul. Kilińskiego (dzisiaj budynek ten już nie istnieje). Ciasto z białej, pszennej mąki zawierało dużo jaj, było dość pulchne i słodkawe. Formowało się najpierw ogromny placek, potem kroilo w prostokąty wielkości standardowych sucharów, pieczonych dla wojska. Żeby pulchne ciasto nie puchło, trzeba było je równymi rzędkami nakłuwać widelcem. Cała nasza rodzina chodziła pomagać do piekarzy przygotowywać je. Prace szły taśmowo i w ścisłej kolejności, partiami na bieżąco i do pieca. Moim zadaniem było nakłuwanie. Właziłam po stołku na wysoki, piekarski stół i dziurkowałam. Jednak Julek robił to dużo szybciej. I dobrze, bo tych sucharów było dużo. Piekarnia piekla je całą noc. A my gdzieś tak, przed północą wracaliśmy chyłkiem do domu uważając, żeby nie natknąć się na patrol niemieckich żandarmów.

Drugi raz w życiu przeżyłam godzinę policyjną narzuconą Polakom przez generałów: Jaruzelskiego i Kiszczaka. Ta ostatnia, w stosunku do okupacyjnej była groteską, tyle, że bardzo irytującą. W kolejnych wspomnieniach opowiem moje silne przeżycie pierwszego dnia stanu wojennego z grudnia 1984 roku.

W okresie zimowych ferii (były tylko jedne dwutygodniowe od 23 grudnia do 7 stycznia) przygotowywaliśmy konspiracyjne „Jasełka”. Teksty pisane specjalnie, z aluzjami i podtekstami

politycznymi, służyły pokrzepieniu serc. Schodziliśmy się na próby do domu prywatnego przy ul. Szpitalnej. Dom pamiętam, nazwisk nigdy nie znałam. Przedstawienia odbywały się w największym modernistycznym pokoju, w przedwojennej willi. Mieściło się tam około 20 osób i improwizowana scena.

Oboje z Julkiem umieliśmy nasze role i wiersze, ale przy próbach opanowaliśmy wszystkie inne teksty i we dwójkę potrafiliśmy odstawić całe przedstawienie. Do dzisiaj płaczą się mi po głowie jakieś fragmenty. Dla przykładu: mała satyra na niemiecką biurokrację. Toczy się rozmowa: *...wiesz, gdzie drzewo wożą chłopcy? - urzędników tam z pół kopy. Każdy jest potrzebny wielce. Jeden kłania się butelce, a gdy ujrzy na dnie pusto, bierze się za rybołówstwo. A gdy pogoda zawiedzie, siadł przed biurkiem po obiedzie i... najmiłsza, najdroższa pani Wandeczko, pani moją jedyną sympatią. A mój wierszyk zaczynał się od słów: czy myślicie, że w lesie choinki nie będzie?*

Aktorką byłam marną, tylko wrodzona sumienność rekompensowała niedostatki talentu i pewnie tylko dlatego powierzano mi jakieś rólki. Zaowocowało to tym, że w dwa lata później sama zorganizowałam teatr podwórkowy u sąsiadów przy ul. Zamojskiej.

Układałam teksty nigdy nie napisane, uczyłam wymowy i gestów, żądałam dyscypliny, a wręcz posłuszeństwa, dobierałam role i

aktorów, urzędziałam scenę i widownię oraz zapraszałam widzów.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.

Z rodzinnego albumu. Wojna - ucieczka za Bug.

Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Historia w karetach zaklęta